

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 229.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1898.— Tom I.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63
WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka Nr. 14.

<https://nauka.org.pl>

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 329

BIBLIOTEKA



PIŚMIO MIESIĘCZNE

Pracownice naukowe, artystyczne i literackie

Dozwoleno Cenzurou.

Warszawa, 13 Janwarja 1898 goda.

Rok 1898 — Tom I

7723

WARSZAWA

Adres Redakcyi: ulica Wawelska Nr. 14.

F. 7723

Kornel Ujejski.

Nieznany, gdy błędzę w waszym mrowim tłumie,
Nie wita mnie żaden duch bratni,
A mnie się wydaje w mej wzgardzie i dumie,
Żem z bożych śpiewaków — ostatni...

Z promiennego hufca wielkich i natchnionych, co „za miliony kochali i cierpieli katusze“, a przed narodem nieśli oświaty koganiec, odszedł ostatni, ale nie najpośledniejszy pieśniarz, godzien obok największych stać w sercu i pamięci potomnych czasów. Człowiek przeżył w nim poetę, źródło natchnień przedwcześnie wyschło mu w piersiach i laur za życia przywiął mu na skroni: zasnuł się w ciszy wiejskiej i w niepamięci, chociaż pieśń jego, wiecznie młoda i nigdy niezapomniana, odbijała się echem w duszach trzeciego już pokolenia. Śmierć przypomniała go światu, i gdy sędziwą głowę złożył na zielonym wiejskim cmentarzu, zabrzmiało na nowo imię jego wszędzie, dokąd sięga polska mowa.

Urodził się w r. 1823. Przyniósł z sobą na świat naturę namiętną i rzewną zarazem, obok skłonności do melancholii, wrażliwość miękka i niesłychanie czuła, fantazyę nie tyle bujną i bogatą, jak raczej bardzo lotną i gorącą. Takim poznajemy go z pierwszych zaraz, dziecięcych niemal jeszcze poezyi. Wychowanie nader staranne i szlachetne wpoilo w duszę chłopca wiarę w Boga gorliwą i do końca życia niezachwianą i bezgraniczną miłość swojej ziemi. Około tych dwóch ideałów będzie się kiedyś obracała cała jego poezya, złączy je i stopi w jedno i postawi na wspólnym ołtarzu. Młodość spędzona na, wsi posiała w jego wrażliwym umyśle zrozumienie i odczucie natury ten trzeci pierwiastek jego talentu. W rodzinnem zaciszu biegły pierwsze lata pogodnie i jasno: po tem dzieciństwie „sielskiem anielskiem“ zostało mu na całe życie tęskne, złociste wspomnienie.

Och, bo swoboda dziecka, to swoboda ptaka,

Rok, czy dzień, czy chwila — kropla to jednaka.

.
.

Wrodzony pociąg do melancholii i marzycielstwa czynił go nad wiek starszym. Na tak przygotowany grunt padła poezya: romantyzm wileński, wywalczywszy sobie dziełami Mickiewicza zwycięstwo nad warszawskim klasycyzmem, świecił w samym zenicie. „*Dziady*“, „*Grażyna*“, „*Wallenrod*“ były już w rękach całego narodu, w krótkce przyszedł „*PanTadeusz*“; Słowacki, wówczas jeszcze,—co prawda—mniej czytany i nie dość oceniony, wchodził w najświetniejszy i najpłodniejszy okres twórczości. „*Bezimienny poeta*“ rzucał światu „*Niebo-skę*“ i „*Irydyona*“, „*Przedświt*“ i pierwsze „*Psalmy*“ dojrzewały już z wolna w jego umyśle.

Co z tej wielkiej poezyi przyszedłemu śpiewakowi „*Maratonu*“ i „*Melodyi Biblijnych*“ w rękę wpadło i na rozkwitający talent najbardziej oddziało, odgadnąć ściśle nie można. To pewna, że jeśli niewszystko znał, to czytał bardzo wiele i głęboko przejmować się musiał tem, co przeczytał; — niewątpliwie bardzo, wczas musiał zacząć łamać się z trudnościami wierszowania, bo pierwsza młodzięcza poezya, jaką sam umieścił w wyborze swoich dzieł, okazuje już bardzo

wyrobioną i dojrzałą formę wiersza. Pisał ją w roku 1840, już wówczas siedemnastoletni poeta miał pełną samowiedzę swego talentu i poczucie, że się przed nim otwiera droga promienna, pełna cierpień i chwały.

Tak dzieckol tak szydzą i młodzi, i starzy —
 O mędrcy, co wieku szukacie na twarzy,
 Spójrzycie w to oko, co żarem mi płonie,
 W to serce, co młotem wybija mi w łonie,
 I okiem chirurga spojrzycie do czaszki,
 Skąd dawno uciekły dziecięce igraszki,
 A gdzie już niejedna myśl szczytna i smętna
 Z łoskotem i blaskiem piorunu tam wpadła,
 I wichrząc, wyryła niezatarte piętna,
 Bo dziecku brew zwiśla i twarz mu pobladła.

O brzozy wysmukłe, nie gardzcie dąbeczakiem,
 Co ledwie gałązkę podnosi od ziemi,
 W nim zaród potęgi rozpostarł się znakiem
 I on was przerosnie konary wielkimi.

To poczucie swojej wyższości nad rówieśnikami, ten przedwczesny smutek, a zarazem to lubowanie się swoim smutkiem, jest jeszcze nieco dziecinne, choć właśnie poeta tak wypiera się swego dzieciństwa. Jeszcze on nie jest sam sobą, jeszcze mu nie porosły skrzydła orlim puchem. Zaczyna przez niego przemawiać talent, ale w tym głosie czuć jeszcze trochę sztucznego patosu i romantycznej egzaltacji. Ale za to sam tok wiersza jędrny, silny i melodyjny, widać na dobrych wzorach wyrobiony.

Wpływ Słowackiego, a może w części Byrona, znać w następnych wierszach. Zwłaszcza pisany w r. 1841 „*Monolog*“, zapewne z jakiegoś, nigdy niewykonanego, dramatu, świadczył-by o przyjęciu się „*Kordyanem*“. „Noc, ogród przypierający do zamku królewskiego“ — jak mówi dopisek — i młody człowiek, oparty o stuletnie drzewo, spowiadający się sam przed sobą z krwawych swoich zamiarów. To, co mówi,

jest silne, deklamacyjne, trochę nawet napuszone, a młody wiek poety i wpływ „*Kordyana*“ przebija się z każdego niemal słowa:

„Patrz! Podziemie tam straszne; na stropie kagańce,
Dwa miecze skrzyżowane u wchodowej bramy,
Tam stół czarny w pośrodku, otoczony w kole
Sprzysiężonymi — dziko patrzącą i chmurnie.
Maskami skryli twarze, milczą — a na stole
Urna kirem przykryta — kule są w tej urnie!
Znak dano i wnet sto rąk sięgnęło do urny,
Sto rąk, jak stado sępów zgłodzonych do ziarna;
Sięgnąłem — odskoczyłem — blask uderzył górny,
Dłoń rozwarłem: Jam wybran, moja kula czarna!
Idźcie spać, bracia moi! Już ja za was czuwam!“

.

Chęć wywołania grozy takimi zewnętrznymi środkami, jak dekoracja owa podziemna, skrzyżowane nad wejściem miecze, kirem przykryta urna, maski, jakie to jeszcze niedojrzałe, melodramatyczne, jakie dalekie od tej wspaniałej a prostej poezji, na którą w parę lat później zdobędzie się poeta.

Prawdopodobnie pod wpływem Byrona pisana była „*Podróż z mojego okna*“.

Północ — sen uciekł, otworzyłem okno,
Gwiazdy, jak oczy, kiedy we łzach mokną,
Niepewnem drżą światłem, a księżyc ponury
Zaciemnił się, zmarszczył i złożył za chmury

.
.

Hej myśli, leć chyżo na zwiady, w podszluchy,
Leć skrzydłem tak cichem, jak lecą snów duchy!“

Myśl leci, i kolejno roztaczają się przed nią rozmaite obrazy: tu bal, tam w podziemiu sąd na skazańca, gdzieindziej stary skąpiec, pochylony nad szkatułą, rachuje złotniki przy blasku latarni, gdy o ścianę cała rodzina nędzarzy kona z głodu na stęchłym barłogu. Wszy-

stkie te sceny wiąże, a raczej odcina jedną od drugiej, powtarzający się niezmiennie dwuwiersz:

Hej myśli — leć chyżo

.

I pomyśl sam, i jaskrawa dosadność użytych kontrastów między obrazami, a zwłaszcza sposób nawiązywania ich takim dwuwierszem, przypominają dość żywo „*Sen*“ Byrona, który zapewne znany był Ujejskiemu w przepysznym wolnym przekładzie Mickiewicza. Tam również przesuwają się kolejno różne obrazy, jakby w kalejdoskopie, a po każdym powtarza się niezmiennie:

„Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia“.

Wreszcie jedna jeszcze lekka reminiscencya Mickiewiczowska a opowiadanie dantejskiego Ugolina nie było, zdaje się, bez wpływu na młodego poetę, kiedy opisywał mękę ojca rodziny, który

. okiem pourem
Potaczał po sobie, po nagich swych dzieciach,
Co jako szczenięta walają się w śmieciach
I z głodu skowyczą

.

W tem dziecko przypęzło mu do nóg i jęka:

„Ach, ojcie mój, ojcie! Jam głodny! Och! Chleba!!“
Od głosu takiego kamień i mur pęka...

Jeśli podobieństwa te nie są przypadkowe, jeśli wolno je uważać za echa i bliższe lub dalsze przypomnienia czytanej poezji, to „*Podróż z mojego okna*“ może służyć za wyborny przykład, jak Ujejski w tych pierwszych latach swej twórczości karmił się dziełami swoich poprzedników, jak je odczuwał i przetrawiał w sobie i po swojemu przerabiał, zanim indywidualność jego dojrzała i w całej pełni na jaw wystąpiła.

Postęp w tej mierze jest uń niego szybki, nawet zdumiewająco szybki. Rozwój talentu zaznacza się z roku na rok, a równolegle

z owem stopniowem dojrzewaniem myśli idzie wyrabianie się i kształcenie formy poetyckiej: język staje się coraz bogatszy, coraz tęższy i coraz jędrniejszy, tok wiersza nabiera giętkości i melodyjnego dźwięku, a zarazem tej siły i pełności tonu, która za parę lat, rozwinięta jeszcze i podniesiona do najwyższego stopnia, zdoła godnie odpowiedzieć najpotężniejszym wybuchom uczucia.

Skutkiem i objawem takiego doskonalenia się formy była zmiana dotychczasowego sposobu wierszowania. Dotąd Ujejski używał niemal zawsze wiersza ciągłego, rymującego się dowolnie, nie ujętego w zwrotkę; teraz przechodzi do regularnej strofy, przeważnie sześćcio, lub ośmiowierszowej, buduje ją kunsztownie, zdobywa się na urozmaiconą a zawsze bardzo harmonijną rytmikę, rymy żeńskie przeplata męskimi.

Tę pracę nad odwładnięciem formy i doprowadzeniem jej do zupełnej doskonałości widać we wszystkich prawie poezjach, pisanych pomiędzy rokiem 1844 a 1846. „*Pod ziemię*“, „*Młodości moja*“, „*Damokles*, „*Lazora*“, świadczą najlepiej o artystycznym wyrabianiu się młodego poety, który coraz wprawniejszą ręką uderza w struny swej lutni! Treścią wskazują niektóre z nich bardzo wyraźnie, iż nie zupełnie zdołał się jeszcze wybić z pod wpływów Byrona. Ponury, Byronistyczny pesymizm, pogarda i nienawiść dla poziomej tłuszczy ludzkiej, pragnienie samotności niezamąconej bezmyślnym gwarem świata, dyktowały Ujejskiemu w owym czasie niejedną ognistą, potężną strofę.

Pod ziemię! Pod ziemię! Z daleka od ludzi,
O byle cichego gdzie schronu!
Ich śmiech mnie tak razi, ich głos mnie tak trzodzi,
Jak pobrząk grobnego podzwonu.

I bylbym szczęśliwy, daleki od wrzasków,
Od śmiechów cynicznych motłochu,
Daleki od podłych zawiści niesnasków,
Kto głębiej zanurzył skroń w prochu.

I bylbym szczęśliwy, lecz niech was nie widzę,
Odrodźmy się morzem dalekiem,
Gdy wglądnę w pierś waszą, gniewam się i wstydzę,
Że byłem zrodzony człowiekiem!

Otoczcie mnie takim spokojem i ciszą,
 Bym słyszał, jak duchy pokrewne
 Wieszczemi się skrzydły nad ziemią kołyszą
 I żale rozdzwą swe śpiewne.

A gdy nikt nie wyjdzie naprzeciw mych dążeń,
 Mnie ciszy nie szukać daleko: —
 Pod ręką jest ziemia, głęboka na sążeń,
 I drzewa kawałek na wieko!...

Jest w tych słowach moc i polot, jest w nich szczerłość i ból prawdziwy. Ta młoda piękna dnsza, wykarmiona marzeniami, w pierwszym zetknięciu z płaską codzienną rzeczywistością, musiała cierpieć. szarpać się i cofać w siebie, aby we własnym wnętrzu, pod strażą samotności, odnajdywać to, czego znaleźć nie mogła wśród ludzi. Trzeba dużo przeżyć i nieraz w pełnym locie do krwi obić sobie skrzydła o pręty tej klatki, która się nazywa światem, trzeba głęboko zajrzeć w piersi ludzkie, aby na ich dnie, pod grubym pokładem egoizmu i obojętności, odnaleźć na dnie samem drzemiące lepsze uczucia, trzeba w samotnem szamotaniu się z samym sobą wypłakać niejedną palącą, krwawą łzę, aby mózdz potem zdobyć się na smutny uśmiech rezygnacy i przebaczenia.

W młodzieńczem uniesieniu rzucać wyrok potępienia i pogardy na świat i na ludzi ma prawo tylko ten, kto sam naprawdę myślał i uczuciem zwykły tłum przerasta, kto sam sobie wysokie stawiał ideały i pnie się do nich całą siłą woli, całą treścią ducha. Ujejski wysoko biegł myślami, wiele od siebie żądał, sam sobie górną i trudną wskazywał drogę. I on ma także swoją „*Ode do Młodości*“, która po tamtej jest może najpiękniejszym w literaturze naszej wylewem uczuć młodzieńczych i pragnień młodzieńczych.

Młodości moja, bądź mi zdrowem ziarnem!
 Każda myśl moja, niech się zazieleni
 W sercach mych braci — niech się tam rozpleni,
 Co ma być białem, niech nie będzie czarnem,
 Młodości moja, nie bądź mi snem marnym!
 Wykuj marzenia twe w żelazne czyny,
 By z niej się późne życie uczyły syny...
 Młodości moja! Bądź mi zdrowem ziarnem!

Inne strofy tego wiersza rzucają wiele światła na to, jak wtedy już pojmował poeta swoje powołanie i jak w duszy sposobił się do wieszczego swego posłannictwa.

Młodości moja, bądź mi zbrojną tarczą,
 Osłoń me piersi, przed niemęską trwogą,
 Niechaj, jak magnes siłami się wzmożę,
 Kiedy je cierpień ciężary obarczą.
 Chociaż pioruny nade mną zawarczą,
Niechaj, jak prorok przed bożym wrodem,
Z sztandarem wiary postępuję przodem,
 Młodości moja, bądź mi zbrojną tarczą!

Młodości moja, ty mi bądź łańcuchem,
 Wiąż mnie z tym biednym, podeptanym ludem,
 Niechaj się pozna, niech rozkwitnie cudem,
 Kiedy go otchłą silnym moim duchem. —
 Orlą żrenicą, zaostrzonym słuchem
 Niechaj się wgłębię w jego pierś zbolalą,
 Z której się tyle łez i krwi wylało —
 Młodości moja, ty mi bądź łańcuchem!...

Z tej gorącej chęci, by „silnym duchem otchnąć“ całe pokolenie współczesne, z pragnienia, by społeczeństwo całe pokrzepić na duchu i wzmocnić, wyszło pierwsze dzieło Ujejskiego, na szerszą skalę poczęte: *Historia vitae magistra*, opromieniająca wieczną chwałą „żelazne czyny

By się z nich przyszłe żyć uczyły syny“,

nasunęła poecie pomysł, naprawdę wielki: „Maraton“. Gdzież znaleźć piękniejszy przykład męstwa, poświęcenia, miłości? Czyżaj pierś nie wzbierze zapalem na widok takiego bohaterstwa — zachwytem na widok takiego zwycięstwa? Wobec tych cudów heroizmu, zamilknie chyba „wrzask i śmiech cyniczny motłochu“, przed którym poeta pod ziemią szukać pragnął „cichego schronu“. A jeśli jeszcze w tym „mrowim tłumie“ jest szlachetniejsze jakieś uczucie, to uczucie wstydu i upokorzenia uderzy w tę lepszą strunę i zbudzi drzemiące w niej pod grubą rdzą bohaterskie dźwięki.

Jest w tem może po części wpływ Byrona. Któryż poeta z większym ogniem, niżli on, — Grecyę za jej męstwo i piękność kochał i opiewał? Któryż małoduszność szarą, nędzotę i gnuśność współczesnych dni dotkliwiej chłostał, przeciwstawiając jej nieśmiertelną sławę Hellady? To też zdaje mi się, że wyraźnie czuć technienie poezji Byrona w takich wstępnych strofach do Maratonu:

Wciąż się szamocę, szukając sposobów,
Jakby was zmęźnić, — wszystkie drogi mylnie!
A więc z pochodnią wstąpić chcę do grobów,
Na jaw wygrzebię czyny podmogilne —

Dawnych olbrzymów przed wami postawię
I z nimi wskreszę stary świat zamarły,
Może choć wtenczas przy waszej niesławie,
Z wstydem przyznacie, że jesteście — karły!

Zadanie — temat godzien był największego poety, Byrona, lub Słowackiego. Do wykonania takiego pomysłu trzeba było mieć zarówno płomienną namiętność wielkiego liryka, jak szerokość stylu, plastykę i prostotę wielkiego epika. Na tych dwóch strunach, i to napiętych bardzo wysoko, można było wygrać godnie tę pieśń wojennej sławy Maratonu. Czy obie te struny i czy w równej mierze brzmiące posiadał na swej lutni Ujejski?

Urodził się potężnym lirykiem, epicznego tonu nie miał nigdy i nie wyrobił go sobie do końca swego poetyckiego zawodu. To też jego „*Maraton*“, mimo pierwszorzędných, cudownych piękności, pozostał dziełem poniekąd niedociągniętem. Wszystkie ustępy liryczne, cały nastrój gorący i serdeczny tego poematu, świadczą o niepospolitym talencie młodziutkiego autora i okupują w znacznej mierze brak epicznego tonu. Sam Ujejski czuł widocznie, że mu nie staje tchu na wypowiedzenie tego właśnie, co z natury rzeczy powinno było stać się kulminacyjnym punktem i środkiem ciężkości dzieła: w „*Maratonie*“ bitwy niemal. Może to i lepiej, bo mierny opis tych wiekopomnych zapasów byłby niezawodnie popsuł wrażenie i obniżył wartość poematu, posiadającego skądinąd niezwykle piękności. Przypuszczać należy, że w pierwotnym zamiarze poety, wielki, epiczny obraz bitwy, zajmować musiał główne miejsce. Dowodzi tego cała budowa „*Maratonu*“ i szeroki jego zakrój. Naprzód pożar i zagłada Sardes — to przyczyna wojny. Potem kolejno pokazane i scharakteryzowane obie strony

nieprzyjacielskie przed rozpoczęciem kroków wojennych: więc Daryusz w całym swym przepychu i zbytku, i Ateńczycy z całą swą szlachetną dumą i hardą odwagą, odrzucający żądanie haraczu i hołdu. Dalej obustronne przygotowania do ostatecznej rozprawy: zwycięski pochód Daryuszowych hord i Ateny porywające za oręż! Wreszcie plac boju przed samem rozpoczęciem walki.

Już się zbliżają — już ku sobie lecą....

Szczęk, jęk, kurzawa.....

I tu kropki, które ucinają w najważniejszej chwili bieg akcji, do-
tąd tak nieprzerwanie płynący.

Dwa końcowe ustępy: Ateny opustoszałe w strasznem oczekiwaniu, które się kończy wreszcie wieścią o zwycięstwie — i pobojowisko, zasłane gęstym trupem, to już zamknięcie, prześliczne zresztą zamknięcie poematu.

Wolno się zatem domyslać, że poeta albo zawahał się w ostatniej chwili i, nie czując się na siłach, nie śmiał pójść dalej, w obawie, by nie przekroczyć przyrodzonych granic swego talentu, albo też, co prawdopodobniejsze może, próbował zdobyć się na wielki opis bitwy, ale, z prób i usiłowań niezadowolony, wołał ostatecznie rzucić zasłonę na najważniejszy moment, niż dać rzecz nie stojącą na wysokości przedmiotu.

W każdym razie „*Maraton*“, taki jak jest, należy niezawodnie do wybitniejszych utworów naszej literatury, a wśród dzieł Ujejskiego zajmuje bardzo poczesne miejsce. Siła, świeżość, zapach, dramatyczny nastrój wielu ustępów, w innych wulkaniczna namiętność liryzmu, a przytem wiersz piękny, język dosadny, giętki i obrazowy, i styl, znamionujący często lwie pazury młodzieńczego twórcy, jednym słowem, wszystko składa się na niezwykle wrażenie, jakie „*Maraton*“ po przeczytaniu zostawia.

*

*

*

Religijno-mistyczny duch, który owionął wtedy całą naszą romantyczną poezję, musiał oczywiście przebiec ponad głową i tego najmłodszego naówczas z polskich poetów. Messyjaniczny pogląd na dzie-

je ludzkości i narodów znalazł także i w twórczości Ujejskiego swój wyraźny odbłysek.

Na krzyżu konam, z zwieszoną skronią,
Z przebitą piersią, z przebitą dłonią,
Z skrwawioną koroną cierni.

Zczerniałe wzgórza ludzi mrowiskiem
Mej męce wtórzą urągowskimi,
A gdzie są — gdzież moi wierni?

O ludy ziemi, i na was czeka
Okrutna męka Syna Człowieka,
Przyszłość mi wasza odkryta:

Pelnia wyroku chyżo się zbliża,
Wam błogosławić z mojego krzyża
Zrywa się ręka przybita...

Ujejski jednak chwilowo tylko w tym jednym wierszu poszedł dosłownie za ideją Messyanistyczną. Wszelako umysł jego nie był skłonny do trwałego przejęcia się mistycyzmem i dlatego nie został przy pojęciu „Chrystusa Narodów“, jakie się wytworzyło i rozwinęło w poezyi Mickiewicza i Krasińskiego. W podobnym jak oni uczuciu i w podobnym nastroju szukał on innych analogii, prostszych, mniej filozoficznych, mniej na mistycyzmie zbudowanych, i analogię taką znalazł w księgach „Starego Zakonu“. Zamiast „Chrystusa Narodów“, zamiast „proby grobu“, odkupienia przez mękę, tryumfu ostatecznego przez śmierć, jednem słowem, zamiast całego messyanicznego systemu, nasunęło mu się, tak zresztą naturalne i jasne, pojęcie „ludu wybranego“ w stosunku do Jehowy, który hebrajskie swoje rzesze doświadczają wszelkimi plagami, podaje za karę w moc nieprzyjaciół, a jednak z opieki, ani łaski swej, na chwilę ich nie wypuszcza i przez natchnione wargi proroków swoich dźwiga je z upadku, krzepi, ostrzega i do celów opatrnościowych prowadzi.

Niechaj, jak prorok przed bożym narodem,
Z sztandarem wiary postępuje przodem ..

Uczucie i wyobraźnia poety, raz w tym kierunku zwrócone, musiały iść dalej. Przebiegając księgi biblijnych proroków, nie mógł Ujejski nie zatrzymać się na Jeremiaszu. Ten, z pośród wszystkich innych, najwięcej cierpiał i płakał nad Izraelem i zdobył się na tak przejmujące okrzyki bólu, zgrozy i rozpaczy, na skargę tak przerażliwą, na taki jęk litości, zdławiony okropnym płaczem, że w dziedzinie najwyższej patetycznej liryki niema chyba równego sobie poety. Łatwo sobie wyobrazić, z jakim dreszczem zachwytu, z jakim gorączkowem rozpromienieniem wczytywać się musiał Ujejski w niezrównane treny i lamenty potężnego proroka.

Dotychczasowa własna poezya musiała mu się wobec tego wydać lichą rymotwórczą zabawką, pustem i niepotrzebnem kwileniem. Na księdze Jeremiasza rozrastał mu się duch i wznosiło mu się serce, rozwijały mu się do lotu skrzydła. I w nim, podobnie jak w Mickiewiczu, *Gustavus obiit—natus est Conradus*. Wszystko, co małe, osobiste, przejściowe, zamilkło i zamarło w jego duszy: Byronistyczne melancholie i gorycze pesymizmu i wzgardy, a pod wpływem takiego przeistoczenia się całej wewnętrznej swej istoty, pisał wówczas „*Gęśl Jeremiasza*“.

O gęśli dawna! rzucam cię pod nogę
I gniewną stopą depcę cię i łamię,
Bo ja dla siebie śpiewać już nie mogę;
Po Jeremiasza gęśl wyciągam ramię!

Zapieram siebie! Wszystkie moje troski
Rzucam w głąb serca, niech bez echa giną;
Zapieram siebie, jak zesłannik boski:
Cały mój naród jest dla mnie rodziną!...

.

I tak jedna za drugą idą te strofy natchnione, jedna piękniejsza, jedna silniejsza od drugiej. Ten potężny wiersz, pisany jeszcze w roku 1844 i nie wciągnięty do cyklu „*Skarg Jeremiego*“, stanowi przełom w twórczości Ujejskiego i jest najzupełniej godnym zadatkim i niejako przegrywką samych *Skarg*, napisanych dwa lata później.

Po tym pierwszym wybuchu płomiennego natchnienia, widocznie nie mógł się młody poeta utrzymać na takiej wyżynie. Owe następne dwa lata przysporzyły mu sporo wierszowanego dorobku, ale na razie mo-

gło się zdawać, że zbyt jeszcze ciężką dlań była gęśl Jeremiasza, w którą tak potężnie raz jeden uderzył. A tymczasem z owej wzgardzonej i podeptanej dawnej lutni płyną mu rozmaite, rozmaite wiersze, lepsze i gorsze, niektóre nawet bardzo piękne — jak *Stance do mojej matki*, jak „Przeczcucie śmierci“, lub wreszcie „Zimowym zmrokiem“ i „Fragment“ (te dwa ostatnie datują już z r. 1846). Ale po żadnym z tych utworów niemożna-by się domyslać, że były napisane już po tym pierwszym Jeremiaszowym śpiewie.

„Skargi“, ogółem wzięte, są, zdaje mi się, szczytem i koroną całej twórczości Ujejskiego. Zapewne, nie wszystkie one są między sobą równe: niektóre sięgają niemal wyżyn, w innych trafiają się miejsca słabe, gdzie albo formaniedomierzona, niedociągnięta, rozluźnia się pod prężeniem wezbranego uczucia, albo też uczucie samo, ścieśnione i wtłoczone w wiersz, straciło coś z pierwotnej swej mocy, świeżości i ognia. Ale słabszych tych ustępów jest niewiele i wśród mnóstwa pierwszorzędných piękności giną one, nie osłabiając ogólnego wrażenia.

Cóż bowiem zdołało-by osłabić taką naprzykład „*Noc natchnienia*“, tę wstępną modlitwę, która jest niejako przedmową do wszystkich dalszych i odrazu pierwszą swoją cudowną strofą chwyta za serce.

Poglądam w niebo — a niebo ciche,
 Patrzę na ziemię — a ziemia śpi,
 Ona, co we dnie miota się w pychę,
 Ona, co we dnie broczy we krwi.
 A teraz księżyc srebrną pogodą
 Obrylantował rosisty wrzos,
 I stoją sennie wierzby nad wodą,
 A wiatr leciuchny muska im włos,
 Wonieje ziemia i płoną zorze...
 Mój Boże, mój Boże!...

Albo takie „*Smutno nam Boże*“, pisane jakby do wtóru Słowackiemu, jego własną formą —

Że dotąd dębom, skołysanym nocą,
 Oczyste słowa szeleszczą nad głową,
 Że w całej ziemi jaskółki szczebiocą
 Rodzinna mowa,

A wielu synów pogardza nią może? —
Smutno nam Boże!

W innej, wspaniałej modlitwie „Za zbłąkanych“, wyciągnięta z ówczesnych wypadków galicyjskich, głęboka i zawsze prawdziwa nauka o niebezpieczeństwie podziemnych knozań i wichrzeń, które od samych podstaw wstrząsają społeczeństwem i wywołują wprost przeciwny zamiarom skutek, bo przyszłość całą zdają na żywioł tak niepewny i nieobliczalny, jak szerokie masy ludu. A lud—wówczas najdobitniej okazało się, że

Jak liść jesienny, zgromadzony w lesie,
Tam on ulata, gdzie go wiatr uniesie.

Do obosiecznych podobny on mieczy,
Kto nim zamachnie, wprzód siebie skaleczy,
A straszne jego i śmiertelne cięcia,
Bo on ma siłę — choć siłę zwierzęcia.

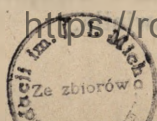
I jak łódź, długo więziona w przystani,
Zerwawszy łańcuch, buja po otchłani,
I skał niepomna ukrytych pod wodą,
Zgubną swawolę nazywa swobodą;

Tak lud nasz wybiegł w bezdroża manowców,
A więc Ty, Panie, coś strażą wędrowców,
Tę łódź błędzącą do brzegu nakieruj,
My jej wioślarzem — a Ty, Panie, steruj...

O innym rodzaju zbłąkanych, którzy zwątpili i w trwodze małodusznej gnuśnieją, opuściwszy ręce, mówi poeta z gniewem i pogardą, że

U nich to wielkie, co stoi przed twarzą,
To tylko ciężkie, co na dłoni zważa;

a w końcowych strofach błagalnie woła o poprawę jednych i drugich, o duchów słabych wzmocnienie i oświecenie ciemnych:



Tyś wielki, Panie! Za Twoim rozkazem,
 Co było miękkim — staje się żelazem,
 Co było ślepem — to przewidza nagle,
 Co było nizkiem — bierze skrzydeł żagle.

Z najpiękniejszych i najczystszych natchnień Ujejskiego wyszedł śpiew rezygnacji, pokory i ufności: „*Chwała Tobie, Panie!*“ Jeśli dziś, po tylu długich latach bolesnego doświadczenia, nie można czytać tej modlitwy bez wewnętrznego dreszczu, to ileż bardziej musiała ona przejmująco działać wówczas, po wszystkich owych okropnościach rzezi. Jak tajać musiały w rzewnych łzach serca ówczesnych ludzi, złodowaciałe zgrozą, zdrętwiałe z żalu — jak się korzyć i koić musiały oszołomione nieszczęściem duchy, na takie spokojne, korne słowa:

Jak onemu Jobowi, gdy słudzy w żalobie
 Przybiegli, krzycząc: „Starcze, wszystkie syny twoje
 Pan odebrał tobie!“
 A on wciągnął na głowę zdartych szat zawoje
 I jęknął: „Święta wola niech się twoja stanie,
 Chwała Tobie, Panie!“

Podobnie, kiedy zbójce braci nam pobili,
 A my ze snu okropną ocuceni wieścią,
 Chociaż w pierwszej chwili
 Błąznili ci, bezbrzeżną targani boleścią;
 Jak ów Job, teraz w skrusze wznosimy wołanie:
 Chwała Tobie, Panie!

Twe oko, co nad płazem opiekuńczo świeci
 I nas pokutujących trzyma na swej pieczy,
 A wszak dla swych dzieci
 Pelikan własnym dziobem pierś białą kaleczy,
 Toż niedarmo krwi naszej stało się wylanie —
 Chwała Tobie, Panie!

I potem, w jednej z dalszych strof — przebaczenie, niewinność tych, którzy byli nieświadomem narzędziem, przebaczenie dla „młodszej braci“, co wprowadziła

Lecz kiedyś, gdy ją dojmie sumienia frasunek,
W objęcia nam się rzuci na nasze wołanie —

Chwała Tobie, Panie!

Po akcie ufności, pokory i przebaczenia — „Akt Wiary“. Pieśń, którą Jeremi śpiewa z ludem izraelskim, jest jednym więcej promieniem najszczytniejszej poezyi.

Wierzymy Panie, że Ty gwiazdy siejesz
Po naszej drodze, żeś Ty naszym świadkiem,
Że chociaż czasem słabymi zachwieszesz,
Jednak nas wszystkich chronisz przed upadkiem,
Żeś aniołami otoczył otchłanie,

Wierzymy, Panie!

I snuje się dalej świetlaną przędzą, coraz wyżej i wyżej, ta pieśń otuchy, wiary i nadziei, pieśń taka gorąca, serdeczna i prosta, że może się zdawać, iż ten, kto ją z siebie w podniesieniu ducha wyśpiewał, musiał chyba, w tej chwili, niebo widzieć otwarte nad sobą i nie w pusty błękit, ale Bogu żywemu twarzą w twarz spoglądał w niezmiennym zachwyceniu.

Toteż, jako poezya religijna, „Skargi“ nie mają nic równego sobie w całej literaturze nowożytnej; dla społeczeństwa, trafionego przerażliwym ciosem w samo serce, musiał to być balsam gojący, trzeba wówczas było takich modlitw na podniesienie i ukrzepienie ducha, takiej niebiańskiej rosy rześzystych łez na obmycie czoła z palącego wstydu i rąk z dymiącej jeszcze krwi. Naród, który po takim gromie wydał z siebie takiego poetę, temsamem dawał dowód, że wart jest lepszej doli, a godzien przeszłości swej i przyszłości.

Ujejski zaś wydaniem „Skarg“ stawał odrazu na czele, w rzędzie hetmanów duchowych, boży śpiewak, prorok Jeremi.

*

Wielkość sławy zdobytej, wprawdzie najzupełniej zasłużenie, ale tak nagle, i to niemal na początku poetyckiego zawodu, musiała zaciążyć na całej dalszej twórczości autora „Skarg”. W tak niezwykle naprężeniu uczuć, w takim natężeniu natchnienia, nie można utrzymać się długo. Obniżenie lotu, zwinięcie skrzydeł, było psychologiczną koniecznością, przynajmniej na razie. Można się jednak było spodziewać, że Ujejski, prędzej czy później, porwie się znowu na wyżyny i osiągnie szczytów poezji.

Tak się nie stało. Rzeczy można, że co miał w sobie talentu, zapału, natchnienia, uczucia, to wszystko aż gdzieś z dna samego duszy wybuchnęło „Skargami” i zużyło się w tem jednym, iście tytanicznym wysileniu. Została mu jednak technika wiersza, bardzo wydoskonalona, język melodyjny, bogaty i silny, wrażliwość poetycka, fantazja gorąca, jednym słowem, Ujejski nie przestał być niepoślednim poetą — tylko wieszczem nie miał już być odtąd. Czasami, rzadko bardzo, budził się w nim dawny Jeremi, naprzykład w niektórych naprawdę podniosłych poezjach, zwłaszcza zaś w „Melodyach Biblijnych”. Ale, bądź co bądź, po roku 1846 poezja Ujejskiego stanęła w rozwoju swym dalszym i zawiodła te nadzieje, jakie można było rokować Jeremiemu.

Toteż, jeśli dotąd śledziliśmy jego twórczość od początku, od dziecinnych niemal jeszcze prób, aż do zenitu wieszczych jego natchnień, i krok za krokiem, szczebel po szczeblu, przedstawialiśmy drogę, jaką przebył; to teraz było-by może zbyt czułym przechodzić równie szczegółowo wiersz za wierszem.

Wystarczy wspomnieć najważniejsze z pomiędzy wierszy luznych, nie związanych w większe cykle, i przejść do „Melodyi Biblijnych” i tłumaczeń Chopina, bo w całej dalszej działalności poetyckiej Ujejskiego, po r. 1846, te dwie grupy utworów stoją niezawodnie najwyżej.

Rok 1847 wzbogacił dzieła Ujejskiego ślicznym przekładem jednej sceny z Antygony Sofoklesa. Jakby dla orzeźwienia się i zrównoważenia rozżalonej i rozdartej duszy, zwrócił się poeta do wiekiście młodej, czystej i harmonijnej piękności greckiej, zanurzył się w niej myślą i wyłowił szereg wytwornych strof, istny sznur pereł. Zmienia, bogata rytmika strof i antystrof tragicznego chóru, z całą najwdzięczniejszą melodyjnością, stanowiła trudność niemałą, ale też dawała szerokie pole do popisu takiemu mistrzowi rytmiki polskiej, jakim był Ujejski.

O, patrzcie na mnie, ojcowie mej ziemi,
 Na mnie, stąpającą
 Ostatnią drogą, i oczy łzawemi
 Na blask Heliosa patrzącą,
 Ach, raz ostatni — i nigdy już więcej!

Mnie Hades żywą wiedzie za ręce
 Do Acheronu,
 Ni mnie otoczą Hymenu wieńce,
 Ni pozazdroszczą mi w głośniejszej piosence
 Łożnicy schronu,
 Acheron jeden moim oblubieńcem...

Szkoda, że po tak świetnej próbie, Ujejski nie zabrał się do przełożenia całej tragedyi; mieli-byśmy tłumaczenie, godne zarówno oryginału, jak naszej literatury, tłumaczenie Antygony, na jakie równo pół wieku trzeba było czekać.

Poeta, który odjąwszy ręce od jęczącej harfy hebrajskiego proroka, umiał tak szczęśliwie trafić w klasyczny ton złotostrunnej lutni greckiej, dał tem samem dowód niezwyklej różnostronności.

Inny znów, pogodny, uroczysty, a pełen złotej prostoty ton, ma „*Ojcowski Psalm*“, napisany w r. 1850, po urodzeniu syna. Spokój, przyciszenie i rozjaśnienie ducha, wzburzonego i skolatanego do głębi odczuciem publicznych nieszczęść, znalazł poeta widocznie dopiero w życiu rodzinnem. O ile liryka miłosna, przed ożenieniem się Ujejskiego pisana („*Do lilii*“, „*Do brzegu*“, „*Nie wiń mnie*“), jest przeważnie dość mdła a miejscami nawet i cikliwa, coby dowodziło, że tej struny poeta nasz nie posiadał; o tyle poważne i rzewne zarazem uczucie ojcowskie natchnęło go bardzo szczęśliwie. Początek, a zwłaszcza cudowne zakończenie „*Ojcowskiego Psalmu*“, jest bezsprzecznie jedną z najpiękniejszych poezyi Ujejskiego. Radosne upojenie szczęściem rodzicielskiem bije tam z każdego słowa, widać, jak uszczęśliwionemu ojcu świat cały rozpromienił się w oczach.

I od kiedy w niej mieszka niewiniątko boże,
 Pierwsze blaski rzucają na tę chatę zorze,
 Czeremcha więcej kwiatu na jej dachy sypie,
 Słodką muzyka pszczołek przygrywa na lipie,
 Gołębie lubią teraz na podwórku siadać

I swe skrzydła tęczowe do słońca rozkładać,
 A jaskółki przez okno wglądają ciekawe...
 A ja chodzę jak senny, wielbie Pańską sprawę,
 I upajam się kwieciem i gołębi bielą,
 I tą z lipy na lipę lecącą kapelą,
 I tem światłem ścian moich i wonnością pował...
 O, jak Ty, Panie, ducha mego rozradował!..

W późniejszych latach kilkakrotne jeszcze zrywanie się do dawnego lotu i chęć widoczna wydobyć z siebie czegoś, coby wysokim natchnieniem mogło się mierzyć z pieśniami Jeremiego, ale wszystkie te usiłowania nie stwarzają nic wybitnego. „*Przez ogień w blask*“ (1851), „*Do mojej myśli*“ (1852), „*Do moich przyjaciół*“ (1855), wszystko to piękne wiersze, ale z dawną płomienną pieśnią nie można ich nawet porównywać.

Tylko w „*Melodyach Biblijnych*“ wraca ten potężny, szeroki ton, i to niekiedy z taką siłą i z takim polotem, jak wówczas, w owym krwawym roku rzezi. Ale też i „*Melodye Biblijne*“ sięgają początkami w najświetniejszy okres twórczości Ujejskiego. Pierwsze z nich pisane były jeszcze w roku 1845, ostatnie dochodzą do 1850. Jedna z nich, może najpotężniejsza, zatytułowana „*Jeremiasz*“, musi pochodzić z późniejszych czasów, inaczej bowiem byłaby niezawodnie pomieszczona w „*Skargach*“, którym nie ustępuje w niczem. Następna „*Super flumina Babylonis*“ jest wspaiałą parafrazą biblijnego psalmu i śmiało może się mierzyć z swym pierwowzorem. Niektóre strofy są w niej prawie tłómaczeniem, ale tłómaczeniem takim, jakiego od czasów „*Pasterza*“, Kochanowskiego nie miała poezja polska.

Ten sam żałosny tren synów Izraela, siedzących „po niskich brzegach Babilońskiej wody“, brzmi u Kochanowskiego prościej, twardziej:

Jeśli bym cię zapomniał, o kraino święta,
 Niech moja swej nauki ręka zapamięta,
 Niechaj mi język uschnie, kiedy cię przepomnę,
 Kiedy cię na początku wesela nie wspomnę.

Po trzech wiekach tą samą pieśnią odpowiada Ujejski namiętniej i rzewniej:

<https://rcin.org.pl>

Jeruzalem! Jeruzalem! Biedna ziemio ty!
 Gdy twej męce nie poświęcę każdej mojej łzy,
 Jeśli ciebie nie ogarnę mym synowskim żalem,
 To mnie przeklnij i zapomnij, matko Jeruzalem.

Niech me oczy robak stoczy, niech w nie pluje czerń,
 Niech ma ręka w ogniu pęka, niech się krzy jak cień,
 Niech mój język, jak gadzina, przyschnie do gardziela,
 Jeśli zaprę twych boleści dla chwili wesela...

„*Izrael w Egipcie*“, „*Pan w gniewie*“, „*Balaam*“, „*Przeklęci*“,
 wszystko to są klejnoty najprzedniejszego blasku, żarliwością uczucia
 i wysokością polotu stojące tuż obok „*Skarg*“, a nawet w kilku tych
 „*Melodyach*“ doskonałość formy i dojrzałość artystyczna wydaje mi
 się większą, niż w niektórych słabszych „*Skargach*“. Za to niektóre
 „*Melodye*“, jak „*Ostatnie głosy Sodomy*“, dochodzą w sztuczności form
 rytmicznych i nadmiernem użyciu rymów męskich do przesady.

Na Boga, gdzie droga, do miejskich, do bram,
 Przedemną, nademną, tu ognie i tam,
 Z iskrami we włosach,
 Po trupach, po stosach,
 Ja lecę szalony w grób!

Wiatr szumi, a tłumi mój oddech ten szum,
 Zaś pryska, a ścisza, nie puszcza mnie tłum,
 Hej, z drogi, kto żyje,
 Bo nożem przebiję!
 Daremnie... ach!... padam... trup!

Takie wirtuozowstwo formy budzić musi podziw, ale też równo-
 cześnie robi wrażenie popisu i brawury, a zwłaszcza ta kunsztowna
 i wyszukana budowa filigranowych strof staje w rażącym przeciwień-
 stwie z żywiołowością, gwałtownością i brutalnością treści, która wy-
 magała formy prostej i szerokiej.

Taką właśnie formę pełną, dźwięczną a silną ma „*Hagur na pu-
 szczy*“, jeden z najbardziej przejmujących wybuchów lirycznych na tle
 krajobrazu pustyni, zarysowanego po mistrzowsku. Więcej jeszcze
 pejzażowego i malowniczego pierwiastku ma spokojna, idylliczna

„*Rebeka*“, której nastrój łagodny i pogodny odbija od innych „*Melodyi*“.

Zamykają poetycki zawód Ujejskiego „*Tłómaczenia Chopina*“, pisane w krótkim stosunkowo okresie czasu, bo w przeciągu trzech lat, od r. 1857 do 1860. Stosunek poezji tych do Chopin'owskiej muzyki jest oczywiście rzeczą zupełnie obojętną. Nie podniesie to ich wartości, gdy się im przyzna, jak twierdzą jedni, bardzo trafne dostrojenie się do muzyki Chopina, ani też nie tracą one na poetyckiej swej doskonałości, jeśli się orzeknie, jak chcą inni, że Ujejski najdowolniej w świecie interpretował niemi Chopina.

To pewna, że „*Tłómaczenia*“te, choć może nie wszystkie posiadają pierwszorzędną piękność poetyczną, choćby tylko „*Marsz pogrzebowy*“ (oczywiście z pominięciem znacznie słabszego *Finale*, które nad tytułem nosi № 2), sam ten marsz jest dziełem niepospolitem, podobnie jak „*Straszna noc*“, pełen grozy i charakterystycznego zacięcia, dramat wiejski; gdy przeciwnie takie *Mazurki*, jak „*Zakochana*“, lub „*Na wiosnę*“, czarują wdziękiem, swobodą, lekkością... Trochę afektacyi i sztucznej prostoty jest może w niektórych strofach „*Terkotki*“ nieco hucznej frazeologii w „*Ostatnim Boju*“, ale wszystkie takie zastrzeżenia nie zmieniają ogółowego sądu o tłumaczeniach, które są ostatnim błyskiem wielkiego talentu.

Obraz twórczości Ujejskiego nie byłby zupełny, gdyby się pominąć chciało „*Drobne Poemata i Urywki*“. Jest to dział osobny, w którym przeważa opowiadająca, epicka nuta. Oprócz „*Maratonu*“ i „*Pogrzebu Naczelnika*“, są to utwory słabsze, stwierdzające najoczywiściej, że Ujejski był lirykiem i jedynie lirykiem. Wszak i tutaj, skoro tylko z opowiadania przechodzi do struny uczuciowej, tylekroć płyną z pod pióra całe ustępy zupełnie piękne; naodwrot, gdy znowu od pieśni schodzi do prostej powieści, zniża się wartość, psuje wrażenie tych poezji, „*urywki*“ zaś niemal wszystkie urywają się tam właśnie, gdzie od przegrywki lirycznej autor musiał wejść w pełny tok opowiadania.

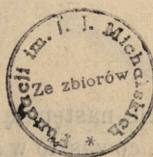
Jest to rys charakteryzujący najlepiej rodzaj i naturę jego talentu. Gdybyśmy więc mieli w kilku słowach skreślić fizyognomię literacką Ujejskiego, to należało-by przedewszystkiem nacisk położyć na uczuciowość jego potężną, namiętą, płomienną, która w najlepszych chwilach natchnienia przechodziła daleko poza granice osobistych uczuć i marzeń, a obejmowała szeroko i przejmowała się do głębi wszystkim tem, co stanowiło treść duchową całego ówczesnego pokolenia. Uczucia bólu, grozy, rozpacz, gniewu, w poezji naszej nigdzie, prócz „*Psalmów Krasińskiego*“, nie znalazły tak pełnego i głębokiego wyrazu, jak w dziełach Ujejskiego, toteż miał on prawo na początku *Skarg* zawołać:

O mój Indu, krwią moją są te pieśni moje!

Był w nim, obok tego, niewątpliwie i drugi poeta z wykwintnym artyzmem i wielkim talentem, opiewający indywidualne, wewnętrzne dzieje swej duszy, ale to, co w Ujejskim największe i naprawdę nieśmiertelne, to wszystko wyplakał on z serca rozdartego większą i świętszą boleścią, i dlatego wobec potomności mieć on będzie zawsze tę groźną i smutną twarz hebrajskiego proroka i tę żałosną Gęśl Jere-miaszową, którą udźwignął i nastroił on sam tylko, pierwszy po trzech naszych wielkich poetach!

LUCYAN RYDEL.

Kraków, 2/I 1897.



F. 7723